

Włodzimierz Suleja

ZAMACH MAJOWY

W historii całego bodaj międzywojennego dwudziestolecia niewiele jest równie kontrowersyjnych wydarzeń, jak majowy zamach Józefa Piłsudskiego. Spór, toczony nie tylko na historiograficznym, ale z większą jeszcze siłą na publicystycznym polu, dotyczy przede wszystkim genezy samego zamachu i jego konsekwencji, niemniej jednak po dzień dzisiejszy nie do końca wyjaśniony został przebieg owych jakże dramatycznych dni. Autor niniejszego szkicu zamierza zatem skoncentrować się na okresie zamach bezpośrednio poprzedzającym i tym, co się działo – przede wszystkim w Warszawie, ale też w całej Polsce – w drugiej dekadzie maja 1926 r.

Nie ulega wątpliwości, iż „samotnik z Sulejówka” po zrezygnowaniu w połowie 1923 r. z ostatniej publicznej funkcji, szefa Sztabu Generalnego, a zarazem przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej, nie zamierzał dożywać swych dni, tak jak oczekiwali jego przeciwnicy, na politycznej emeryturze. Nieomal od zaraz sposobił się do powrotu, jednakowoż, jak świadczą o tym poczynania zarówno samego Marszałka, jak i jego najbliższego otoczenia, do przejęcia władzy pragnął zmierzać stopniowo, ewolucyjnie. Jeszcze w połowie 1925 r., a zatem już po słynnej oficerskiej demonstracji w Sulejówku, przedstawianej niemal powszechnie jako zamachowe preludium, zastanawiając

się nad najbliższymi krokami, zakładał, że kolejne rządowe przesilenie trzeba będzie, jak odnotował to Kazimierz Świtalski, „starać się załatwić bez Sejmu. Dostać się do wojska. Pójść, zapewne w roli ministra spraw wojskowych, ostro i brutalnie przeciw Sejmowi”, wszelako nie rozwiązywać go, a jedynie „ograniczyć jego zbieranie się”. Sam Marszałek zaś, „siedząc w gabinecie”, przypatrywałby się jego członkom „dla orientacji, z kim iść można, a z kim nie. Przyjść do władzy – podsumowywał ten scenariusz Piłsudski – ewentualnie w jesieni 26 r.”. Praktyczna realizacja przedstawionych tu założeń nie tylko nie przewidywała, ale wręcz wykluczała konieczność użycia siły.

Wiosna 1926 r. przebiegała pod znakiem propagandowej ofensywy Piłsudskiego, mającej przybliżyć Marszałka do ministerialnego fotela. Dostrzec można również narastające, także w odczuciu opinii publicznej, przekonanie, że przecięcie owego politycznego węzła gordyjskiego może nastąpić jedynie przy użyciu siły. Trzeba przy tym podkreślić, że Piłsudski wcale nie był jedynym kandydatem pretendującym do odegrania roli człowieka „silnej ręki”. Realizatorem wojskowego zamachu stanu mógł być i Józef Haller, i Józef Dowbór-Muśnicki czy Władysław Sikorski. Wprawdzie żaden z nich, z Piłsudskim włącznie, nie podejmował jakichkolwiek praktycznych przygotowań, ale wszechobecna plotka, krążąca i po salonach, i po warszawskiej ulicy, to jednego, to drugiego z nich widziała na czele wkraczających do stolicy oddziałów. W końcu te niezweryfikowane pogłoski wtopiły się w polityczny pejzaż i opinia publiczna zaczęła się do nich po prostu przyzwyczajać. Piłsudski, w przeciwieństwie do potencjalnych konkurentów, wytrwale i konsekwentnie upowszechniał swe racje. Wiosną 1926 r. spór przestał jednak dotyczyć wyłącznie problemu przyszłej organizacji najwyższych władz wojskowych, ale zaczął wiązać się również z motywem narastającego zagrożenia zewnętrznego,

zwłaszcza po traktatowym sformalizowaniu związków między weimarskimi Niemcami a bolszewicką Rosją.

W drugiej połowie kwietnia przewlekły kryzys gabinetowy, w wyniku którego rząd Skrzyńskiego ostatecznie zszedł z politycznej sceny, wszedł w ostrą fazę. Piłsudski zapewne brał pod uwagę możliwość przedłużania się zabiegów mających doprowadzić do wyłonienia większości zdolnej uformować nowy gabinet, toteż najprawdopodobniej postanowił zaopatrzyć się w narzędzie, umożliwiające mu wywieranie tak na polityków, jak i przede wszystkim na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, skutecznego nacisku. Najlepiej rolę taką mógłby pełnić odpowiednio dobrany oddział wojska, złożony z jednostek, których wierności Marszałek mógł być pewien. Piłsudski nie zamierzał przy tym gromadzić sił po to, by na ich czele występować zbrojnie. Zależało mu raczej na posiadaniu swoistej „oprawy”, z jednej strony dodającej powagi wysuwanyim żądaniom, z drugiej jasno pokazującej, że to on właśnie reprezentuje interesy armii i cieszy się jej poparciem. Być może dalekim echem owych zamysłów stała się informacja, zamieszczona w syntezie Władysława Poboga-Malinowskiego, a powtarzana przez kolejnych badaczy, iż urzędujący minister spraw wojskowych, gen. Lucjan Żeligowski 18 kwietnia powierzył Marszałkowi dowództwo nad wybranymi jednostkami dla przeprowadzenia ćwiczeń międzygarnizonowych (zapewne jako pierwszy informację takową podał Stanisław Haller, wedle którego Żeligowski „oddął w ostatniej chwili swego urzędowania ministerialnego jednostki przygotowane do buntu do dyspozycji marszałka Piłsudskiego, pozornie na ćwiczenia w Rembertowie, nie informując o tym swego następcy”). Problem w tym, że taki rozkaz nie został nigdy wydany, a w każdym razie piszący te słowa nie zdołał natrafić na jakikolwiek ślad przypisywanej Żeligowskiemu inicjatywy – wydaje się, że interpretacja Hallera,

zasłyszana w gorących majowych dniach w Warszawie, była próbą zrationalizowania niezrozumiałej dla otoczenia ministra Juliusza Malczewskiego sytuacji. W rzeczywistości bowiem było zupełnie inaczej...

Przed opisem przebiegu majowych wypadków warto, jak sądzę, zastanowić się przez chwilę nad głębszymi motywami, które legły u podstaw poczynań Marszałka. Wydaje się, że doszukiwanie się w jego wcześniejszych wystąpieniach publicznych, prawda, iż niekiedy wyjątkowo ostrych, a nawet brutalnych, złowróżbnych zapowiedzi działań, które wprowadziły go na pozaparlamentarną drogę, wynika z przyjętego *a priori* założenia o dużo wcześniejszym zaplanowaniu przewrotu. W historiografii, nie wspominając nawet o różnej wartości wystąpieniach publicystycznych, dominuje oto przeświadczenie, że Piłsudski zamierzał złamać konstytucję, rząd, bez względu na jego polityczne oblicze, rozpędzić, zaś władzę, bez względu na wewnętrzny i zewnętrzny kontekst, wziąć siłą. I nadać jej dyktatorski charakter. To, że ostatecznie tak właśnie się stało, wcale jednak nie oznacza, że był to jedyny brany przez Piłsudskiego pod uwagę wariant rozwoju wydarzeń. Wariant wykluczający kompromis z siłami obecnymi na politycznej scenie. A przecież z tej właśnie perspektywy zachowanie Marszałka w krytycznych majowych dniach jawi się jako zupełnie niezrozumiałe, nielogiczne, sprowadzające dylemat, przed jakim stanął i jaki musiał rozstrzygnąć, do tyleż wygodnej, co znachorskiej tezy o kolejnym psychicznym załamaniu.

Piłsudski, co warto raz jeszcze podkreślić, nie negował ustrojowych fundamentów II Rzeczypospolitej. To, przeciw czemu występował, można na dobrą sprawę sprowadzić do zdecydowanego negowania parlamentarnej praktyki. I, co ważniejsze, permanentnego osłabiania armii przez uzależnianie jej od doraźnych politycznych koniunktur. Co więcej, w począt-

kach maja Marszałek po raz kolejny przekonał się, że na tym polu kompromis z siłami, które wymusiły jego odejście z czynnego życia politycznego, nie jest możliwy. Przekonującego dowodu dostarczył marszałek senatu Wojciech Trąmpczyński, który podczas posiedzenia Komisji Wojskowej wyższej izby parlamentu wykluczył możliwość nie tylko objęcia przez Piłsudskiego stanowiska Naczelnego Wodza, ale wręcz powrotu do armii. I choć wywody marszałka senatu wywołały po części niespodziewany, po części zapewne sterowany rezonans w armii (do raportu, w obronie honoru Piłsudskiego, zgłosiło się około tysiąca oficerów), w pierwszych dniach maja zamachowe alarmy nie wydawały się groźne.

Sytuacja radykalnie zmieniła się w momencie, gdy zabiegi o stworzenie rządowej większości (5 maja Skrzyński ostatecznie ustąpił) powiodły się przywódcy PSL „Piast”, Wincentemu Witosowi. Pojawienie się nowego wcielenia „rządu Chjeno-Piasta” Piłsudski potraktował jako wyzwanie. Szczególnie, że w swym pierwszym publicznym wystąpieniu Witos znacznie pole manewru Marszałka ograniczył. W opublikowanym 9 maja wywiadzie przywódca PSL „Piast” domagał się odeń, by wyszedł z ukrycia i wziął odpowiedzialność za państwo, a jeśli wierzyć Ratajowi, w wersji, która ostatecznie nie ujrzała światła dziennego, stwierdzał ponoć, że on sam nie zawahałby się wziąć władzy siłą, gdyby miał, tak jak twierdził Marszałek, za sobą wojsko. Po wystąpieniu Witos Piłsudski nie mógł mieć złudzeń, by przyszłe relacje między dwiema wyrażającymi się opcjami mogły ułożyć się pokojowo. W tej sytuacji rzuconą mu rękawicę postanowił podjąć, a demonstracyjna reakcja nowych władz (konfiskata wywiadu dla „Kuriera Polskiego”, będącego ostrą w treści i formie odpowiedzią na prasowe wystąpienie Witos, pierwsze ruchy kadrowe w armii) w połączeniu z pogłoskami o możliwym ściągnięciu do stolicy oddziałów

z Poznańskiego bądź Pomorza, wręcz skłaniały go do zaostreżenia formuły protestu. Trudno wprawdzie ocenić, czy do Marszałka docierały zweryfikowane, prawdziwe informacje, czy też były one celowo wyolbrzymiane przez jego zwolenników, niemniej jednak to właśnie najprawdopodobniej dopiero przed południem 11 maja podjął on decyzję, by w dniu następnym wyrzucić presję i na prezydenta, i rząd Witosą, pojawiając się w stolicy na czele zbrojnego oddziału. Można domniemywać, że w przekonaniu Piłsudskiego ten pokaz siły powinien okazać się na tyle skuteczny, by rząd się ugiął, tworząca go koalicja się rozpadła, odzyskujący zaś swobodę ruchów prezydent powrócił do koncepcji kreowania gabinetu nie tylko opierającego się na szerszej politycznie podstawie, ale też z Marszałkiem w jego składzie. Piłsudski, jak się zdaje, w swych obliczeniach zlekceważył generałów.

Wydaje się, że powody nieuwzględnienia w analizach owego, jak mawiał sam Piłsudski, „sowietu generałów” wynikały z faktu, że rozgrywkę zamierzał prowadzić na czysto politycznym gruncie. Tymczasem sięgnięcie po wojskową asystencję mogło dostarczyć przeciwnikom Marszałka wyjątkowo wygodnego pretekstu, by demonstrowanemu w oparciu o armię niezadowoleni nadać znamiona wojskowego buntu. Wiedzano, że Piłsudski może liczyć na wsparcie sporej grupy oficerów, i to nie tylko tych najwierniejszych. Spisywane *post factum* wyjaśnienia, że niemal wszystkie oddziały, jak stwierdził S. Haller, traktowano jako „niepewne i podminowane pracą konspiracyjną”, należy przyjmować raczej jako próbę zracjonalizowania czy wręcz usprawiedliwienia powodów porażki, niż uznać za opis faktycznego stanu rzeczy. Co więcej, nie można zapominać, że decyzyjne centra znalazły się w rękach przeciwników Marszałka, a siły, jakimi mógł dysponować, w rzeczywistości 11 maja jeszcze nie istniały. Wydaje się zatem, że

wprowadzenie przez Ministerstwo Spraw Wojskowych 11 maja stanu pogotowia w niektórych oddziałach (w prezydenckim oddziale przybocznym, Oficerskiej Szkole Piechoty, 30. Pułku Strzelców Kaniowskich) brało się raczej z obawy przed spodziewanymi burzliwymi manifestacjami antyrządowymi niż w przewidywaniu, że dojdzie do zbrojnego wystąpienia sił popierających Marszałka. Trudno mówić też o zaniedbaniach czy lekceważeniu napiętej wprawdzie, ale wyłącznie na politycznym gruncie, sytuacji – po prostu do późnych godzin popołudniowych 11 maja nie istniała potrzeba przedsięwzięcia jakichkolwiek nadzwyczajnych środków. Sięgnięto po nie, i to z olbrzymią determinacją, w dniu następnym.

Historykom, opisującym przebieg dni majowych, trudno jest zrozumieć nieład, wręcz beztroskę organizatorów „zamachu”, a zwłaszcza brak koordynacji czy zupełne niewyzyskanie elementu zaskoczenia. Za bezsporny należy uznać fakt pełnej improwizacji podjętych przez Piłsudskiego działań. Niezwykle wymowne to świadectwo braku planu opracowanego wcześniej na podobny wypadek. Wszelako owo pozorne zaniedbanie przestaje dziwić, gdy przyjmiemy, że Piłsudskiemu wojsko nie było potrzebne do wywołania zbrojnego buntu. Natomiast jasne jest, że dla przeprowadzenia politycznych planów, związanych przede wszystkim z forsowaną przez Marszałka organizacją najwyższych władz wojskowych, niezbędne było bodaj deklaratywne, acz jednoznaczne, opowiedzenie się armii po jego stronie – czytelny, wyraźny sygnał, kogo korpus oficerski zamierza słuchać. Z tych powodów Marszałek nie ściągał większych sił ponad te, które były konieczne do propagandowej oprawy zamierzonej politycznej demonstracji. Nie musiał też tworzyć „ścisłych” czy „politycznych” sztabów, mających koordynować całą akcję. Podkomendni, którzy pojawiali się w Sulejówku, tacy jak choćby Wieniawa czy Miedziński, bądź informowali

go o rozwoju sytuacji (i w tym momencie mogło dochodzić do zamierzonych lub przypadkowych przejawiskowań), bądź zgłaszali się po konkretne polecenia. Rola szczególna – stworzenia owej wojskowej asysty – przypadła natomiast gen. Gustawowi Orlicz-Dreszerowi.

Kawalerzysta, do szaleństwa odważny legionowy oficer, sprawny dowódca w wojnie z bolszewikami, po perturbacjach z przenosinami na prowincję w wyniku jesiennej sulejowskiej demonstracji, dowodził nadal 2. Dywizją Kawalerii. On to właśnie, najprawdopodobniej na bezpośrednie polecenie Piłsudskiego, w godzinach przedpołudniowych 11 maja wydał rozkaz dowódcy 7. pułku ułanów, Kazimierzowi Stamirowskiemu, by ten udał się „do rejonu m. Wesoła, w celu przeprowadzenia w dniu następnym ostrego strzelania na poligonie Rembertów. Podczas przemarszu przez Sulejówkę – brzmiało polecenie – miał dowódca pułku zameldować się u Pierwszego Marszałka Polski”.

Stamirowski nakazał zaalarmować szwadrony o godz. 11. Nie spieszo się, bowiem zbiórkę pułku, liczącego 380 szabel, wyznaczono na godz. 14. Do Sulejówka pułk dotarł o godz. 17.30, przy czym po zameldowaniu się u Piłsudskiego Stamirowski wraz z adiutantami i kilkoma łącznikami stanął tam na kwaterze. Pułk biwakował w lesie między stacją kolejową Wesoła a wzgórzem 112.

Nie wydaje się, by już w tym momencie Piłsudski decydował się na uruchomienie większych sił. Co więcej, podporządkowanie sobie ułanów Stamirowskiego czynił wręcz ostentacyjnie, polecając wprawdzie zawiadomić o tym fakcie gen. Rudolfa Pricha, a następnie wysyłając z tą informacją o godz. 19 do komendy garnizonu w Rembertowie oficera.

Sytuacja zmieniła się tuż przed północą, kiedy to do Piłsudskiego dotarła informacja, jak na obecność w Sulejówku

7. pułku ułanów zareagował nowy minister spraw wojskowych. Do biwakującego pułku przybył oto oficer ze Szkoły Podchorążych, który „przywiózł rozkaz gen. Malczewskiego, podpisany przez komendanta szkoły podchorążych płk. Sztabu Generalnego Gustawa Paszkiewicza, nakazujący pułkowi przerwać ćwiczenia i wrócić do Mińska Mazowieckiego”. Piłsudski polecił Stamirowskiemu, by rozkaz ten zignorował.

Rozkaz wydany Stamirowskiemu mógł oznaczać, że Marszałek zamierza sprowokować reakcję nowych władz, doprowadzić wręcz do zbrojnej konfrontacji. Możliwa jest wszakże i druga interpretacja – dopiero wówczas mogło doń dotrzeć, że dostarczył on swym przeciwnikom dogodnego pretekstu, by w razie podjęcia zamierzonej demonstracji mogli go potraktować jak buntownika. Rezygnacja z wojskowej asysty oznaczała fiasko politycznego planu. Kontynuowanie demonstracji tylko z ułanami Stamirowskiego groziło z kolei nie tylko przedstawieniem go jako rokoszanina, ale i wyizolowaniem i spacyfikowaniem całej akcji. W tej sytuacji Piłsudski podjął decyzję, by siły, którymi zamierzał się posłużyć, wydatnie wzmocnić. Do stacjonujących w Warszawie i jej okolicach pułków, na których dowódców mógł liczyć, udali się tedy jego emisariusze (kpt. Henryk Floyar-Rajchman do 22. pułku piechoty w Siedlcach, płk Adam Koc i ppłk Anatol Minkowski do 36. pułku piechoty stacjonującego na Pradze oraz do 1. pułku strzelców konnych w Garwolinie, 13. pułku piechoty w Puławach i być może 1. pułku szwoleżerów na Pradze, wreszcie nad ranem 12 maja o planowanej akcji dowódcę 21. pułku piechoty, stacjonującego w Cytadeli, poinformował gen. Tadeusz Piskor), natomiast Stamirowski jeszcze przed północą telefonicznie nakazał objęcie dowództwa nad stacjonującym w Rembertowie Banią Manewrowym mjr. Aleksandrowi Rutkowskiemu. Ułani Stamirowskiego, strzelcy konni z Garwolina, pułk z Siedlec

oraz Baon Manewrowy stanowić miały tę siłę, którą Marszałek dysponowałby bezpośrednio. Oddziały, których koszary znajdowały się na Pradze, miały natomiast wyświadczyć posłuszeństwo Malczewskiemu, informując ministra, że wykonują polecenia Piłsudskiego. To, jak się zdaje, miało wystarczyć do przekonania prezydenta, że wojsko nie akceptuje gabinetu Witosa, co dałoby dogodny pretekst do jego zdymisjonowania i powołania takiego rządu, który „interes moralny armii” byłby w stanie należycie zabezpieczyć.

Koncentracja sił, które podporządkowały się Piłsudskiemu, rozpoczęła się rankiem 12 maja w Rembertowie (początkowo byli to jedynie ułani Stamirowskiego i Baon Manewrowy). W tym momencie Marszałek nie zakładał jeszcze konieczności podjęcia marszu na Warszawę. Sądził, że wystarczy jego osobista wizyta u Wojciechowskiego, w wyniku której – zwłaszcza, gdy przedstawi mu rozwój wypadków – prezydent zgodzi się na proponowane kroki zaradcze. Zamyśl okazał się jednak chybiony, bowiem gdy Piłsudski tylko w towarzystwie adiutanta dotarł do Belwederu (z Sulejówka wyjechali o godz. 10), okazało się, że prezydent, choć informowany o niepokojach, wyjechał już do swej rezydencji w Spale. Nie wiadomo, jak Wojciechowski zareagowałby na argumenty Marszałka, wszelako nie ulega wątpliwości, że owo rozminięcie się zaważyło na dalszym rozwoju wypadków. Piłsudski, wiedząc już zapewne o zarządzeniach Malczewskiego, dla którego poczynania Marszałka były „buntem”, powróciwszy ok. 12 do Rembertowa, nie mógł już swych działań pozorować. Drogę odwrotu miał odciętą, toteż nie pozostawało mu nic innego, jak marsz na stolicę. Na drogę wiodącą do bratobójczej walki wojska, które opowiedziały się po jego stronie, wkroczyły o godz. 13.30.

Niesubordynacja Stamirowskiego nie wywołała większego wrażenia w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Zaniepokojenie

wzbudziła dopiero postawa Baonu Manewrowego – we wczesnych godzinach rannych 12 maja Prich raportował, że oddział ten „na zasadzie rozkazów bezpośrednio otrzymanych odmaszeruje do Warszawy”. Sytuację uznano za poważną dopiero pomiędzy 8 a 9 rano, kiedy to Wojskowy Wydział Kolejowy otrzymał informację z Siedlec, że dowódca 22. pułku piechoty „domaga się natychmiastowego przetransportowania jego pułku do Warszawy”. Meldunek, wysłany z Siedlec do Warszawy tuż przed 9, brzmiał bardzo alarmistycznie, bowiem dowódca 22. pułku piechoty „otoczył dworzec kolejowy wojskiem, postawił posterunki przy zawiadowcy stacji i dyżurnym ruchu i siłą dąży do zawagonowania swego pułku w stronę Warszawy”. Wtedy to w Sztabie Generalnym i ministerstwie uznano, że akcja „jest podejrzaną i może być nieodosobnionym wypadkiem”. Dopiero od tego momentu energicznie przystąpiono do przeciwdziałania.

O ile sytuację w Siedlcach oceniono w Warszawie jako poważną, o tyle rozwój wydarzeń w samym Rembertowie nie wzbudzał szczególnego niepokoju, zwłaszcza że inne – poza Baonem Manewrowym – jednostki znajdujące się w garnizonie (Szkola Podchorążych zaalarmowana o 8.30 oraz II dywizjon 28. pułku artylerii polowej) podporządkowały się rozkazom wydanym przez Pricha i Paszkiewicza. W Sztabie Generalnym nie wiedziano natomiast, co dzieje się na prowincji, toteż pierwszym zarządzeniem gen. Edmunda Kesslera był rozkaz wyekspediowany do wszystkich Dowództw Okręgów Korpusów (DOK) i Wydziałów Kolejowych, zabraniający załadowywania i wysyłania transportów wojskowych bez zgody Malczewskiego. Od 9.30 rozpoczęły się też gorączkowe narady w Sztabie Generalnym, ministerstwie, Komendzie Miasta, a także Ministerstwie Kolei i Prezydium Rady Ministrów. Zaowocowały one całym pakietem zarządzeń, wydanych przez Malczewskiego. Wstrzymywał on wszelkie urlopy i odwoływał

wyjazdy służbowe do Warszawy, informował, że Marszałek „nie stoi w służbie czynnej” i nie posiada prawa rozkazodawstwa, a wykonywanie jego poleceń jest działaniem przeciwko prawu, wreszcie wzywał z DOK VII Poznań dwa pułki piechoty, z DOK IV Łódź 10. pułk piechoty z Łowicza oraz z DOK I 71. pułk piechoty z Ostrowi Mazowieckiej. W tym ostatnim poleceniu minister żądał, by pułki spoza Warszawy miały „stany możliwie wysokie, zapas żywności na cztery dni, kuchnie polowe” i, co najważniejsze, miały być wyposażone w ostrą amunicję. Trudno jednoznacznie ocenić, jakimi motywami kierowali się skupieni w ministerstwie i Sztapie generałowie. Nie wiadomo, czy uznali wystąpienie Piłsudskiego za próbę wywołania wojskowej rebelii, czy też, dokonując bilansu sił, doszli do wniosku, że zbrojne starcie należy wymusić po to, by raz na zawsze Marszałka z życia publicznego wyeliminować. W każdym razie trudno nie dostrzec, że pierwsze decyzje podjęli wojskowi, dopiero potem aprobował je rząd, a zgodził się z nimi i co więcej, przekreślił możliwość kompromisu, prezydent.

Rozkaz, skierowany do Siedlec, by 22. pułk piechoty wywagonował się i pozostał w garnizonie, okazał się spóźniony, gdyż jeszcze przed godz. 10 jego dowódca, płk Henryk Krok-Paszkowski, rozpoczął załadunek pododdziałów i ok. 11, przy zamkniętych sygnałach, ruszył w stronę Warszawy. Nakazana przez Malczewskiego próba zerwania toru w Rembertowie nie powiodła się, udaremnił ją bowiem ułani Stamirowskiego, choć ten incydent sprawił, że Piłsudski nakazał, by pułk z Siedlec, miast dotrzeć do dworca Wileńskiego, wyładował się w Rembertowie. Stało się to tuż po godz. 14, w tym samym czasie, gdy Malczewski zdecydował się na ściągnięcie do stolicy dwóch dodatkowych pułków z DOK VI Lwów.

Poza ściąganiem wojska Malczewski podjął charakterystyczne, godzące w zwolenników Marszałka, decyzje personalne.

Do Komendy Miasta wezwano Wieniawę i Piskora (co faktycznie równało się ich internowaniu), a dowództwo 2 DK powierzono gen. Janowi Sawickiemu (z płk. Władysławem Andersem jako szefem sztabu). Ze swej strony Prezydium Rady Ministrów wydało specjalny komunikat, mówiący o złamaniu dyscypliny przez kilka oddziałów, zebranych w okolicy Rembertowa, a „podnieconych fałszywymi pogłoskami i uwieździonych fałszowanymi rozkazami”, co doprowadziło je do „wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi Rzeczypospolitej”. Żołnierzy tych prezydent wezwał do „opamiętania się i poddania prawowitej władzy”, co znalazło się w opublikowanej w nadzwyczajnych dodatkach gazet warszawskich odezwie sygnowanej przez Wojciechowskiego, wzywającej wojsko do zachowania wierności złożonej przysiędze i podporządkowania się legalnemu rządowi. Wreszcie w stolicy, województwie warszawskim i dwóch powiatach województwa lubelskiego wprowadzono stan wyjątkowy.

Nie sposób ustalić, kiedy dokładnie powstały te dokumenty, a zwłaszcza w jakim stopniu na ich treść wpłynął Wojciechowski. Wydaje się, że komunikat rządowy powstał jeszcze przed wymarszem sił Piłsudskiego z Rembertowa, wobec czego prezydencka aprobata nastąpiłaby *post factum*, gdyż za nieprawdopodobną uznać należy możliwość jego powrotu ze Spały przed godz. 13 (w stolicy mógł być najwcześniej ok. 15). Być może treść owych wystąpień wstępnie konsultował z nim telefonicznie ok. 12 Witos, ale i to nie jest pewne. W każdym razie Wojciechowski powrócił zdeterminowany, przeciął, wedle zgodnych świadectw, wahania rządu i nie miał zamiaru żądać Piłsudskiego nie tylko aprobować, ale nawet wysłuchać. Jest wysoce prawdopodobne, że jadąc na spotkanie z Marszałkiem, prezydent był już głęboko przekonany, że od strony wojskowej zamach nie może się powieść. Otwarte pozostaje pytanie, czy dał

posłuch argumentom przyodzianych w mundury przeciwników Piłsudskiego (przecież po powrocie ze Spały konferował tylko z nimi, a nie z reprezentantami rządu), czy też, żyjąc nie tylko w cieniu Marszałka, ale i pod jego ciągłą presją, postanowił skorzystać z okazji wyjścia na plan pierwszy, pozostawiając mu tylko – niesławę. Co więcej, postawa Wojciechowskiego okazała się dla Marszałka całkowitym zaskoczeniem.

Tymczasem Piłsudski, jak wynika z analizy jego poczynąń, nie prowadził swego zgrupowania do walki. Sam wymarsz opóźniło oczekiwanie na 22. pułk piechoty, ale jeszcze przed jego wyładunkiem w Rembertowie Marszałek wsiadł do odkrytego powozu i wraz z Baonem Manewrowym, poprzedzany przez 3. szwadron 7. pułku ułanów, zbytnio się nie spiesząc, kierował się w stronę mostu Poniatowskiego, aczkolwiek Wisły przekraczać nie zamierzał. Mosty jednakowoż – Poniatowskiego (zwany Trzecim Mostem) i Kierbedzia – polecił obsadzić Dreszerowi, ten zaś ok. 14 wydał rozkazy dowódcom 1. pułku szwoleżerów i 36. pułku piechoty, by opanować ich przedmościa. Polecenie to zostało wykonane o godz. 16, przy czym na moście Poniatowskiego zainstalował się 1. dywizjon pułku szwoleżerów, natomiast most Kierbedzia zajął wydzielony oddział 36. pułku piechoty w składzie kompanii piechoty i CKM, dowodzony przez mjr. Jana Korkozowicza. Tymczasem po przeciwnej stronie stanowiska zajął baon Oficerskiej Szkoły Piechoty wzmocniony plutonem samochodów pancernych i działonem 1. dywizjonu artylerii konnej, dowodzony przez mjr. Sztabu Generalnego Mariana Porwita, natomiast na most Kierbedzia jeszcze przed 17 skierowany został oddział asystencyjny 30. pułku piechoty prowadzony przez kpt. Alojzego Szyca. Dodatkowo, ubezpieczonym marszem z Rembertowa wracała do stolicy na rozkaz Malczewskiego Szkoła Podchorążych wraz z dywizjonem 28. pułku artylerii polowej.

Na moście Poniatowskiego Piłsudski pojawił się ok. 16. Marszałka oczekiwał już prezydent. Spotkanie, będące w praktyce ostatnią szansą na kompromis, zakończyło się, z punktu widzenia Piłsudskiego, fiaskiem. Prezydent zaproponował mu powrót na drogę legalną, co było równoznaczne z przyznaniem się do klęski. Co więcej, Marszałek usłyszał, że to właśnie Wojciechowski stoi na straży honoru armii i przekonał się naocznie, że żołnierze gotowi są wymierzyć broń w niego samego. Piłsudskiemu pozostawała zatem kapitulacja i zdanie się na łaskę przeciwników bądź orężna walka.

Z funkcjonujących w historiograficznym obiegu źródeł wynika, że do momentu rozmowy z Wojciechowskim Piłsudski nie brał pod uwagę perspektywy zbrojnego starcia. Decyzja o eskalacji konfliktu – równoznaczna z początkiem wojny domowej – nie przyszła mu zapewne łatwo. Drogę do stolicy, zamkniętą przez prezydenta, należało otwierać siłą, przy czym wobec zablokowania Trzeciego Mostu do dyspozycji pozostawał jedynie zajęty przez oddziały wierne Marszałkowi most Kierbedzia. Niezbyt jasne sformułowanie Piłsudskiego, że chce nocować na Zamku, dowódca 36. pułku piechoty uznał za przyzwolenie na rozpoczęcie akcji. Piłsudski zdawał sobie sprawę, że przewaga, jaką uzyskał, może nie wystarczyć nawet do sforsowania Wisły, toteż doraźnie w sukurs 36. pułkowi piechoty miał przyjść Baon Manewrowy, natomiast dowódca 22. pułku piechoty otrzymał rozkaz, by „niezwłocznie maszerować i zająć most Kierbedzia całym pułkiem”. Marszałek nie zaniedbał też innych działań. Kazimierz Świtalski, jeden z najbliższych współpracowników, otrzymał polecenie przedostania się na lewy brzeg Wisły i porozumienia się z kierownictwem Związku Zawodowego Kolejarzy. Świtalski miał przekonać związkowców, by „dla zapobieżenia transportom wojskowym robili im utrudnienia”.

Piłsudski, choć zapewne nie miał już złudzeń co do rozwoju wypadków, postanowił jednak nie brać na siebie odpowiedzialności za użycie siły. Dlatego zapewne wydał kategoryczny rozkaz podległym mu oddziałom, by te nie otwierały ognia aż do chwili, kiedy uczynią to żołnierze strony przeciwnej. Powściągliwość ta sprawiła, że przez Trzeci Most mogła przejść, choć po długich pertraktacjach, Szkoła Podchorążych, wzmacniając tym samym siły rządowe, zaś próbę jego forsowania, podjętą przez pododdział Oficerskiej Szkoły Piechoty, powstrzymała „krótka seria w górę z ckm, ustawionego na wieżycze mostu”. Były to bez wątpienia pierwsze strzały, które padły 12 maja. Nie kierowano ich jednak w stronę przeciwnika. Do krwawego starcia, pierwszego podczas zamachu, doszło na Nowym Zjeździe, ogień otwarli zaś żołnierze strony rządowej.

Jest niemal pewne, że wojskowi przeciwnicy Marszałka gotowi byli na użycie siły jeszcze przed rozmową na Trzecim Moście. Gen. Kazimierz Dzierżanowski, dowódca I DOK, nakazując o 16 zajęcie mostu Kierbedzia 30. pułkowi piechoty, polecał, by uczynić to bezwzględnie, a „oddziały 1 p[ułku] szwol[ezarów], 7 p[ułku] ul[anów], 36 p[ułku] p[iechoty] odrzucić”. Jednak i oni czekali na efekt pertraktacji. Sytuacja zmieniła się w momencie, gdy dowódcą obrony Warszawy mianowany został gen. Tadeusz Rozwadowski (o godz. 17.15). Wojska Marszałka otrzymały wówczas ultimatum, że jeżeli nie wycofają się do 18.30, oddziały rządowe ruszą do natarcia. Walki rozpoczęły się jednak, nim upłynął termin ultimatum.

Dowodzony przez kpt. Szycę oddział asystencyjny 30. pułku piechoty dotarł w wyznaczony rejon tuż po godz. 17. Miał on, wedle polecenia Dzierżanowskiego, opanować za wszelką ceną most Kierbedzia, utrzymać go i „żadnych oddziałów ze strony Pragi w kierunku na Warszawę” nie przepuszczać. Szycę podjął

wprawdzie próby pertraktacji z Korkozowiczem, ale wobec ich bezskuteczności obydwaj oficerowie, doskonale zdając sobie sprawę, że wybuch walk jest przesądzony, zdecydowali się na odsunięcie napierającego na rozwinięte już plutony wielotysięcznego tłumu. Tłumu, którego sympatie tak jawnie sytuowały się po stronie Marszałka, że Szyc wciąż obawiał się z tej strony „wrogich wystąpień”. Dla warszawiaków majowe wydarzenia były swoistym spektaklem, ale postawa ludności musiała być uwzględniania w rachubach obu stron. Wpływała ona zresztą i na morale żołnierzy, i na samopoczucie polityków. Stąd zapewne, poza oczywistością, że nie ma już drogi odwrotu, brała się dodatkowa determinacja zwolenników Marszałka i brak wiary u sporej części żołnierzy, którzy pozostali wierni rządowi.

Żołnierze Szycy byli gotowi do walki o 17.50. Wtedy właśnie ich dowódca nakazał „załadowanie karabinów maszynowych, przygotowanie ich do strzału i odpowiednie poprawienie stanowisk”. W kilka chwil później nadeszły dlań posiłki w postaci kompanii odwodowej 30. pułku piechoty, dowodzonego przez por. Szczepana Olchowicza działonu dak i dwóch aut pancernych mjr. Edwarda Szymańskiego. Rolę sprawczą odegrał jednak przybyły tuż przed 18 na plac Zamkowy referent bezpieczeństwa Komendy Miasta mjr Bogusławski, który zaczął domagać się od Szyc, by ten bezzwłocznie rozpoczął walkę. Ogień, tuż po 18, otworzyło wpierw auto pancerne mjr. Szymańskiego i działo Olchowicza. Zaatakowane oddziały 36. pułku piechoty nie pozostały bezczynne. Znacznie dotkliwsze straty ponoszą oddziały wierne rządowi – m.in. ciężko ranny zostaje oficer asystencyjny z 30. pułku piechoty, mjr Włodzimierz Kłobukowski, giną Olchowicz i Szymański – ten ostatni od wybuchu własnego granatu wewnątrz pojazdu. Rubikon został przekroczony.

Kiedy już padły pierwsze strzały, a od kul zginęli pierwsi żołnierze, wypadki musiały toczyć się innym aniżeli dotąd,

militarnym rytmem. Z wojskowego punktu widzenia cały problem sprowadzał się do odpowiedzi na pytanie, kto w krótszym czasie zdoła uzyskać wystarczającą dla pokonania strony przeciwnej przewagę. Z politycznego – czy kryzys, zlokalizowany w stolicy, nie rozleje się na całą Polskę i nie zburzy, a co najmniej nie naruszy państwowego, kruchego jeszcze gmachu II Rzeczypospolitej. I czy nie zostanie on wykorzystany przez wrogich, a przynajmniej nieprzyjaznych jej sąsiadów. Pytania sformułowane powyżej wymagają rozległych, monograficznych studiów, trudno jednak, koncentrując się na przedstawieniu samego przebiegu kryzysu, pominąć je milczeniem. W każdym razie generałowie kierujący poczynaniami wojsk (Dreszer z ramienia Marszałka, Rozwadowski z nominacji prezydenta), musieli skupić się na ściąganiu posiłków (dla Marszałka głównie z DOK III Grodno i DOK II Lublin, dla rządu przede wszystkim z DOK VII Poznań), kontrolowaniu środków łączności, wreszcie (w przypadku strony rządowej) przełamywaniu blokad czynionych przez kolejarzy. Zwycięstwo nie przyszło jednak siłom Piłsudskiego łatwo, a były i takie chwile, kiedy wydawało się, że sukces strony rządowej znajduje się na wyciągnięcie ręki.

Pierwszą, lokalną przewagę siły Marszałka osiągnęły w rejonie mostu Kierbedzia, stopniowo, acz systematycznie wypierając obrońców, zajmując ok. 21 Komendę Miasta i budynek Sztabu Generalnego na placu Saskim. Przewaga rokoszan wieczorem 12 maja była wprawdzie wystarczająca dla zduszenia oporu wojsk wiernych rządowi, wszelako Piłsudski (stacjonujący w Komendzie Miasta) zdawał sobie sprawę, że odbyłoby się to kosztem znacznych strat, i to po obu stronach. Marszałek spróbował zatem mediacji, ale zarówno misja marszałka sejmu, Macieja Rataja, jak i polityków oraz generałów (m.in. Lucjana Żeligowskiego) kończyły się, wobec nieustępliwego stanowiska Wojciechowskiego, fiaskiem. Prezydent opierał się też nacis-

kom Witosa i innych członków gabinetu, gotowych szukać honorowego wyjścia z sytuacji. Prezydent polegał zapewne na opiniach wojskowych, dla których zwycięski finał wydawał się oczywisty. Sukcesu pewny był zwłaszcza gen. Rozwadowski. Wierzył on, że Belweder (chroniło go ponad półtoratysięczne zgrupowanie dowodzone przez gen. Mariana Kukiela) zostanie utrzymany do momentu nadejścia posiłków. Liczył na akcje lotnictwa, dowodzonego przez gen. Włodzimierza Zagórskiego, dzięki którym oddziały, spieszące na pomoc Piłsudskiemu, miały zostać rozproszone. Oczekiwał też, że na tyły sił Marszałka uderzą oddziały zgrupowane w Cytadeli wspólnie ze spieszącym z Zambrowa 71. pułkiem piechoty. Ten ostatni plan miał zrealizować dowódca 30. pułku piechoty, płk Izidor Modelski, który podczas ataku „na tyły buntowników” miał zająć budynki Komendy Miasta i Sztabu Generalnego, starając się zarazem „dostać w swe ręce przywódców ruchu nie szczędząc ich życia”. Wydaje się, że ten ostatni passus najlepiej bodaj odsłania intencje ludzi, którzy z Piłsudskim postanowili się rozprawić. Nie tyle zaś intencje, ile sposób rozumowania odsłania natomiast powstała w nocy z 12 na 13 maja odezwa skierowana przez prezydenta do „żołnierzy Rzeczypospolitej”. Piłsudski i jego zwolennicy określani zostali mianem szaleńców, ci zaś, którzy wykonywali rozkazy legalnych władz, „stanęli w obronie znieważonego honoru Wojska Polskiego”. W oddzielnym manifestie Malczewski deklarował, że „nie ma względów dla niszczycieli Majestatu Państwa, nie ma łaski dla rąk skalanych krwią bratnią”. Trudno się dziwić, że w takiej atmosferze jakiegokolwiek mediacyjne wysiłki nie mogły zostać uwiecznione powodzeniem. Walka na komunikaty trwała zresztą przez cały następny dzień, ale propagandowe deklaracje nie mogły wywierać wpływu na przebieg walk.

Demonstrowana przez Piłsudskiego skłonność do rokowań odczytana została jako słabość. Dlatego po nadejściu posiłków

z Poznania (57. i 58. pułk piechoty) rankiem 13 maja na rozkaz Rozwadowskiego siły rządowe przeszły do kontrnatarcia. Inicjatywa znajdowała się w ich rękach do godz. 17, ale miała ona wyłącznie taktyczny charakter. Późnym wieczorem Piłsudski był niemal pewny, że walkę w Warszawie rozstrzygnie na swoją korzyść. W jego ręku znajdowała się już Cytadela. Odsiecz 71. pułku piechoty, na którą Rozwadowski tak liczył, nie doszła do skutku, z jednej strony z powodu buntu części pododdziałów, z drugiej wobec zablokowania drogi przez 36. i 13. pułk piechoty, który forsownym marszem dotarł z Pułtusza. Marszałek wiedział też, że odsiecz zdążająca z Poznania i Krakowa z najwyższym trudem otwiera sobie drogę i pojawi się później niż legionowe pułki z Wilna i Lubelszczyzny. Wątpliwe było również nadejście posiłków dla strony rządowej z DOK VI Lwów – oddziały dowodzone przez gen. Sikorskiego okazały się co najmniej niepewne, on zaś sam zastanawiał się obawami wystąpienia odśrodkowych ruchów ukraińskich. W tej sytuacji decydujące walki, które rozpoczęły się o 5 rano 14 maja, musiały przynieść finalne rozstrzygnięcie.

Siły Marszałka parły w stronę Belwederu i mokotowskiego lotniska, a wydzielona grupa kawalerii otrzymała zadanie niedopuszczenia do wsparcia wojsk rządowych przez kolejny rzut pułków poznańskich. W godzinach południowych Belweder był już w strefie bezpośredniego zagrożenia, toteż o 15 podjęta została tam decyzja o ewakuacji rządu i prezydenta do Wilanowa. Tam też, podczas rozpoczętego o 17.30 posiedzenia Rady Ministrów zapadła decyzja o dymisji gabinetu, Wojciechowski zaś postanowił złożyć swój urząd. Charakterystyczne, że decyzję tę podjęto wbrew stanowisku generałów, wciąż gotowych do kontynuowania walki. Jej finalny wynik, wobec nadciągania kolejnych oddziałów z Poznańskiego, Pomorza i DOK V Kraków, nie rysował się jasno, gdyż posiłki dla strony rządowej

co najmniej wyrównywały siły. Wydaje się wszakże, iż politycy w Wilanowie zwątpili w sens oporu i bez wątpienia brali pod uwagę możliwe nie tylko wewnętrzne, ale i zewnętrzne reperkusje przedłużających się walk, generałowie zaś nie mieli mocnych argumentów (w praktyce pozbawieni byli łączności z nadciągającą odsieczą), by wskazać na możliwość nie tyle nawet kontynuowania walki, ile osiągnięcia zapowiadanego uprzednio sukcesu.

Sukces Piłsudskiego zależał jednak od skłonienia prezydenta do kapitulacji. Cały szkopuł tkwił w tym, że początkowo w sztabie rokoszan nie było jasności, gdzie się znajdują Wojciechowski, Witos i generałowie. Ustalono to dopiero o godz. 21, a gdy godzinę później wysłannicy Wojciechowskiego dotarli do Rataja, Piłsudski został poinformowany o rezygnacji prezydenta i dymisji gabinetu. Rataj też, w towarzystwie ppłk. Józefa Becka, 15 maja o godz. 1 w nocy osobiście przyjął w Wilanowie stosowne pisma.

Przejęcie przez Rataja, na mocy art. 40 konstytucji, obowiązków prezydenta było pierwszym krokiem zmierzającym do legalizacji zamachu. Kładło to również kres domysłom, że Piłsudski ogłosił się dyktatorem, co znalazło nawet swój wyraz w komunikacie wydanym po zajęciu stolicy przez gen. Stanisława Burhardta-Bukackiego. Walki, na polecenie Rataja, ustały, ale początkowo było to tylko zawieszenie broni (najwięcej wątpliwości żywił dowodzący siłami poznańskimi gen. Kazimierz Ładoś), a siły wysłane do tłumienia buntu respektowały rozkazy wydawane przez Piłsudskiego jako ministra spraw wojskowych. Unormowaniem stosunków w wojsku miała zająć się specjalna Komisja Likwidacyjna (powołana 17 maja z gen. Żeligowskim na czele), a na politycznym polu pierwszym krokiem legalizującym zamach stało się powołanie przez Rataja rządu z Kazimierzem Bartlem na czele, a następnie

wybór Marszałka na prezydenta. I choć Piłsudski godność tę odrzucił (z jego poręki na prezydenta został wybrany profesor Ignacy Mościcki), sam zaś pozostawał jedynie ministrem w gabinecie Bartla, faktycznie dysponował władzą, której mógłby mu pozazdrościć niejeden dyktator. Nie ze względu na jej atrybuty. Przede wszystkim dlatego, że stał się jej rzeczywistym, jedynym dysponentem. To, jak jej używał, wykracza poza ramy niniejszego szkicu. Zdobył ją jednak na pozaparlamentarnej drodze, siłą, i bez względu na jego intencje, ten fakt musi rzutować na oceny późniejszych dokonań tego bez wątpienia znamienitego męża stanu.

W bilansie majowego zamachu nie sposób nie uwzględnić jego ofiar. W bratobójczej walce zginęło 25 oficerów i 173 żołnierzy (ogółem ok. 350 osób, przy czym ponad 900 osób, w tym 606 żołnierzy, zostało rannych). Swoistym podsumowaniem majowego dramatu był jednak specjalny rozkaz Piłsudskiego do armii, odczytany 17 maja po żałobnej mszy. Jego przewodnią myślą było wezwanie do zaniechania waśni. „Nie po raz pierwszy – przypominał Marszałek – słyszycie mój głos. Ongiś na polach bitew, gdy młode państwo jeszcze ząbkowało, jak chorobliwe dziecko, prowadziłem was w boje, które w zwycięstwach, pod moim dowództwem wywalczonych, na długie wieki okryły sławą i blaskiem bohaterskim Wasze sztandary. Po innych dziś bojach – konstatował – przemawiam do Was dzisiaj. Gdy bracia żywią miłość ku sobie, wiąże się węzeł między nimi, mocniejszy nad inne ludzkie węzły. Gdy bracia się waśnią i węzeł pęka, waśń ich również silniejszą jest niż inne”. Temu prawu życia ulegli zatem i ci, którzy opowiedzieli się po jego stronie, i ci, którzy walczyli po stronie przeciwnej. „W jedną ziemię – melancholicznie, z widoczną goryczą stwierdzał autor rozkazu – wsiąkała krew nasza, przez obie strony jednako umiłowaną. Niechaj ta krew gorąca – apelował – najcenniejsza w Polsce

krw krew żołnierza, pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa, niech wspólną dla braci prawdę głosi”. Piłsudski zapowiadał przejście do porządku dziennego nad rozdzwieniem wywołanym majowymi wypadkami, choć kierowała nim i wielkoduszność, i polityczny rozsądek. Marszałek musiał przede wszystkim ponownie zintegrować podzieloną armię – i to w dobrze pojętym interesie państwa. Również po to, by móc skutecznie rządzić. W interesie Polski, tak jak go, wszczynając zamach, rozumiał.